

Marian Makarski „Dom mojego ojca”

Lublin 2001

*Jak łatwo obezdomnieć
I zostać bez gwiazd nad głową*
Julian Tuwim

Rozdział I Czasu narodzenie

Ten świat nie miał narodzenia, istniał tu zawsze, najstarsi ludzie tak powiadają.

* * *

Dworskie czworaki okoliły plac, niczym rynek w miasteczku.
- Tylko stragany poustawiać! - żartowano.

Ale bruku tu nie było, jak w mieście na rynku. W zbitej murawie wydeptano ścieżki, biegnące zygzakiem do chlewików i obór, a po środku łysina żółtej gliny jaśniała jak klepisko.

- Nawet drzewo tu nie wyrośnie - ktoś tłumaczył - bo ledwo zasadzisz, a już nocą jakaś niedojda wozem zawadzi, albo inna psia krew drzewko wyłamie.

Za to przed oknami czworaków małe ogródki wygradzone chrustem. Wiosną kwitła tam maciejka, a jesienią dynie żółte leżały jak prosiaki.

- Szymek, Szymek!

- To na mnie. W tych czworakach mieszkamy. O tam, w drugiej sieni na lewo.

- Od kiedy? Nie pamiętam. Ludzie z czworaków zmieniają się co wiosny, mówią, że tak jest zawsze, kiedy brak swojego, więc ci którzy mieszkają tu dłużej nie liczą lat, bo po co?

- Szymek!

To ojciec woła. Stoi w czeluści sieni, wymachuje rękami.

Mój ojciec tu pracuje, w tym majątku, albo w tym dworze. Nazywają go "hodowcą róż". Jest tu wielki ogród, a w nim szklarnie, oranżerie, tam właśnie hoduje róże, latem na wydzielonej różance, sztamowe i pnące, całe zagony róż. Ludzie pytają - po co te róże? - Ale pewnie potrzebne, skoro tyle ich tam rośnie.

- Szymek!

- Już idę! - Krzyczę co sił. Biegnę przez ten plac, pokryty o tej porze grubą szrenią.

- Hej, urwisie, do domu pora, a to nocy tylko patrzeć - mówi ojciec. A ja, olśniony nagle, bo to dziś pieczenie chleba, pytam:

- A podpłomyki mama upiekła?

- A pewnie, że upiekła. Cóż by to było za pieczenie chleba bez podpłomyków?

Ojciec chwycił mnie w dłonie, uniósł wysoko i posadził na ramionach. Siedziałem jak na koniu.

- Wiśta, wio! - pokrzykiwałem. Tak weszliśmy do izby.

- Wam tylko figle w głowie - rzekła mama na nasz widok. Ale ojciec jakby z przekory, biegał ze mną wokół stołu, podszczypując mnie w udo, a ja chichocząc pokrzykiwałem - wiśta, hetta, wio!

Posadzony na ławie zzuwałem trzewiki nasiąkłe roztopami. Z pieca buchał żar, niósł po izbie zapach świeżego chleba. Ojciec długim ożogiem wyciągał z pieca rumiane podplomyki. Mama rozlewała w talerze gorącą kartoflankę. Zapalono lampę, wiszącą u powały. Kosmate cienie wylazły z kątów, snuły się po ścianach. Za oknami noc ścieliła sobie posłanie.

* * *

Ludzie oczekiwali wiosny, ale wiosny jeszcze nie było, bo choć już ciepły wiatr muskał ziemię i przedwiosnie nasączało pola topniejącym śniegiem, kałużami rozlało się po drogach, to jeszcze w wąwozach i parowach leżały zwały śniegu po zimowych zadymkach. Jeszcze nocami szkliły się przymrozki i ciężkie chmury snuły się tuż nad ziemią to jednak w samo południe przecierało się niebo i wyzierało słońce. Ludzie, zwabieni tym nagłym przemianami, wychodzili z izb, stawali pod ścianami domów, wystawiając plecy ku ciepłym promieniom.

- Trza ból z kości wypędzić, co dokuczał przez całą zimę - mówili. Mój ojciec śmiał się i ubawiony pytał:

- Hej, co to, wywczasy?

- A można się śmiać, można, a na reumatyzm czy inną podagrę to jedyne lekarstwo.

Szliśmy dróżką, która ciągnęła się od czworaków ku strudze.

Stada gęsi łąziły samopas, a na nasz widok wyciągały szyję, sycząc jęzorami.

Nagle skryło się słońce, dmuchnął porywisty wiatr i sypnęło śniegiem. Ojciec chwycił mnie za rękę i wielkimi susami biegliśmy ku olszynie opodał.

- Tutaj można przeczekać, a to w marcu jak w garncu - powiedział.

- A w lutym? - spytałem podchwytliwie.

- Jak luty, to kupuj buty!

- A w kwietniu?

- W kwietniu, to przyletniu - odpowiedział ojciec bez namysłu.

- Jak to "przyletniu"?

- No przyletniu, jeszcze zima a już lato.

Śmiałem się.

I oto po śnieżycy. Znowu wyjrzało słońce, od chmur zwisały żółte smugi. Z kępy tarniny wyfrunął ptak, wzbił się nieco, szybując tuż nad ziemią.

- O, patrz, patrz! - wskazywałem palcem.

Szliśmy dalej. Zeschłe badyle traskały pod butami. Ojciec zatrzymał się nagle, powlókł oczami po chmurach, sięgając wzrokiem aż tam, gdzie niebo stykało się z ziemią, oddzielając tę szarość bladym pasemkiem poświaty.

- Trzeba stąd, z tych czworaków, uciekać - powiedział nagle.

- Przecież dobrze nam tu. Ojciec, wpatrzony w tę dal za horyzontem, dodał po chwili:

- W świat nam trzeba, w świat!

- W jaki świat? - pytałem zdziwiony. Nie rozumiałem.

- Te czworaki to taki ciężar, który uwiera przez cały życie, a ja chciałem zbudować dom - powiedział ojciec, i mówiąc to jakby do siebie, dodał: - Jak człowiek ma dom, własny dom, to nie tuła się po świecie, po drogach donikąd, bo ma skąd wyjechać i dokąd wrócić...

Te słowa głużył wiatr. Szliśmy w milczeniu. Gdzieś od czworaków dolatywało wołanie. Spojrzałem w tę stronę. Na wzniesieniu, które skłonem opadało ku nam, stała matka.

- Wracajcie! - usłyszałem teraz wyraźnie.

- Mam woła - powiedziałem.

Ojciec poglądał nadal w tę dal za nieboskłonem. - Mama woła - powtórzyłem.

- Przecież słyszę - odpowiedział ojciec obojętnie, wyrwany z tego zapatrzenia, z tego półsnu.

Szliśmy z powrotem. Tuż przed domem pociemniało znowu i sypnęło śniegiem.

- Uciekajmy! Zasypie nas - nalegałem. Zdyszani wpadliśmy do izby.

- Sołtys do ciebie - powiedziała mama.

- Do mnie? A co się stało? - pytał ojciec.

Sołtys siedział na ławie, oparty o ścianę, ćmił skręta przyklejonego do warg.

- A co się miało stać - powiedział spokojnie. - Ot, urzędowa sprawa, do wojska na manebry wzywają i tyle. - Na co?

- Na manebry! - powtórzył.

- Na jakie znowu manebry? - pytała zaniepokojona mama.

- Ano jakie, manebry to manebry - potwierdził sołtys, kładąc wezwanie na stole.

Był to urzędowy druk, wypełniony czarnym atramentem. Ojciec wpatrywał się w tę kartkę przez chwilę, po czym rzekł:

- Sołtysie, spalić było ten świstek, w błoto rzucić.

- Jakże tak, papier urzędowy, poświadczenia wymaga.

- Toteż mówię, zginęło, nie ma, poświadczenia nie trzeba.

- Panu zawsze żarty w głowie - przyganił sołtys.

- Jakie tam żarty, kto dziś chce wojować? - upierał się ojciec, podpisując wezwanie.

- Kto chce wojować, a kto nie chce, nie moja to sprawa - powiedział sołtys, po czym schował do torby pokwitowanie, skinął głową u drzwi i wyszedł.

Mama lamentowała: - Znowu będzie wojna. Znowu będzie wojna ...

- Zwariowałaś?! Wojna na wiosnę? - uspakajał ojciec.

Ale wiosny jeszcze nie było. Po kilku dniach ojciec wyjechał.

Nie pozwolił się odprowadzić.

- Nie na wojnę idę - mówił.

Wziął zawiniątko pod pachę i ledwo wyszedł z izby, zniknął nam z oczu za węglem czworaków.

Co dnia wybiegałem aż na gościniec, wypatrując ojca, ale nie wracał. Wreszcie nadszedł list. Mama czytała na głos, płakała.

- No i czego płakać? - pytałem. - Manebry to przecież nie wojna.

* * *

Drogą, co ciągnęła się koło czworaków do gościńca, a potem gościńcem do wsi i dalej, szło wojsko. Szło wojsko długą kolumną, że jak sięgnąć okiem nie widać było początku ni końca. Szło wojsko utyłane w bajorze, w kałużach, w rozlewiskach drogi. Szarzielone mundury, hełmy, plecaki i karabiny, cały ten rynsztunek kołysał się w szarpaninie marszu, nad którym unosił się tupot, chrobot i szcęk.

Stałem w gromadzie chłopców na przydrożnej ścieżce, wodząc oczami to tu, to tam, bo wojsko szło i szło...

- Manebry, manebry - powtarzano. Zewsząd dało się słyszeć nawoływania, jakieś rozkazy, to znów śpiew, ni to chóralny, ni to pojedynczy:

Maszerują chłopcy, maszerują,

Karabiny błyszczą, szary strój...

A przed nimi drzewa salutują,

Bo za naszą Polskę idę w bój...

Nagle widzę ojca, idzie - o tam! - wskazuję ręką. Skaczę przez rów, przez kałużę, w bajoro.

- Tato! Tato! - wołam co sił.

- Hej, tato!

- Który twój tato? - żołnierze śmieją się, otaczają mnie kołem.

- No, który twój tato? - pytają znowu.

Zawstydzony, bliski płaczu, zasłaniam łokciem oczy. - No, patrz, nie wstydź się, jak ci na imię?

- Szymek - mówię.
- No widzisz, Szymek, tu każdy może być tato, chodź z nami.
- Niee ...

Słyszę jeszcze śmiech. Wracam jak niepyszny. Gramolę się przez rów, stoję obok.

- Szymek, a toś kiep, ojca nie poznał - krzyczy gromada.

- Ty byś też nie poznał - odcinam się jak mogę. Poglądam na kolumnę wojska, to na wierzbę ustawione wzdłuż drogi jak kościelne lichtarze, to na niebo, szukając bladego pasemka nad horyzontem.

A wojsko szło i szło... Jakiś oficer na koniu podawał komendę, jakiś żołnierz utyłłany jak nieboskie stworzenie biegł, jakby usiłował wyprzedzić kolumnę, której początku nie było ni końca. Teraz ciężkie wozy taborów przepychały się po grzędawisku drogi, parskały konie.

- Hej chłopaki, daleko do... - pytali żołnierze.

- Szmata drogi... - ktoś odpowiedział.

I wojsko szło i szło...

Wieczorem ludzie wystawali w sieniach czworaków, rozmawiali do późna, to o wojnie, to o tym wojsku, co drogą..., choć nikt nie wiedział dokąd to wojsko szło.

A wojsko szło i szło ...

* * *

Ludzie doczekali się wiosny. Ptaki powróciły z ciepłych krajów, skończono orki i siewy. Sady, rozbielane zrazu kwiatem, zazieleniły się liśćmi, i dopiero wtedy wrócił z wojska mój ojciec. Nie miał na sobie munduru, jedynie ogorzała od wiatru twarz i miejsca odparzone na skórze były śladem przebytej poniewierki.

Biegałem tedy za ojcem krok w krok, wypytując o wszystko _ Jaki miał mundur, karabin, jaką szablę, jakiego konia. A wieczorami schodzili się ludzie z czworaków, a nawet i ze wsi, siadali w kuchni na ławie, na taboretach, bądź w kucki pod ścianą. Wspominali lata wojny, bo choć już od tamtego czasu wiele upłynęło lat, to powrót ojca te wspomnienia ożywił. Zdawać się nawet mogło, że w tym zwyczajnym folwarcznym życiu, w tej codzienności dworskiego kieratu, między polem, czworakami, a gumnem, tamte zdarzenia wojenne, pielęgnowane w pamięci, ożywały na powrót.

I snuły się opowieści, przerywane od czasu do czasu gromkim śmiechem, bądź cmokaniem, wyrażającym podziw i niewiarygodne zdumienie. A kiedy ludziom pogubiły się wątki, przypominano musztrę wojskową.

- Tym chłopom, to tego wojska i tej wojny ciągle za mało - ganiła mama, krzątając się przy kuchni.

- Oj, święte słowa - poparł mamę gorzelany, wąsaty starowina.

- A gorzelany to się akurat na wojsku zna? - ktoś powiedział.

W izbie zahuczało od śmiechu.

- Jak ja wojowałem, to ciebie, gówniarzu, na świecie nie było - odciął się gorzelany.

- Na japońskiej wojnie byłem - mówił. Znowu rozległ się śmiech. Gorzelany, nie zważając, perorował:

- Dzisiejsze wojsko to, nie przymierzając, jak te barany, co drylu nie znają.

- O, widzicie go, grenadier się znalazł!

- A żebyś wiedział, siuśku, że grenadier! - z animuszem podkręcił wąsa i nie namyślając się wiele, chwycił z kąta miotłę, po czym stanął na środku izby jak z karabinem.

- Szaagom marsz! - komenderował i wyprężony wykonał kilka ruchów jak w pełnym rynsztunku. Śmiechom nie było końca.

- Dajcie staremu spokój - łagodził ojciec - a to gotowy jeszcze na front wyruszyć.

Śmiano się znowu. A późnym wieczorem powoli opuszczono izbę, wymykając się cichcem. I kiedy wszyscy już wyszli, mama położyła mnie spać. Ojciec stał przy oknie, ćmił papierosa, bo w ciemności widać było żarzący się ogieniek.

- No, nie ślęcz, kładź się spać, a to wstawać trzeba o świcie - nalegała mama.

Ojciec stał jeszcze chwilę, a potem siadł na krawędzi łóżka.

- Tam, obok koszar - mówił półszeptem - stał dom, biały, murowany, dach z czerwonej dachówki, a okiennice - to wyobraź sobie pomalowane na zielono..., sad, na klombie narcyzy ... Ot, mieć taki dom...

- Opętało cię z tym domem, czy jak? - mówiła mama. - Nic tylko dom, dom, a jak się komuś tak zamarzy, to na złość, wszystko się sprzeniewierza.

- Wiem, co mówię - powiedział ojciec i po chwili dodał bezradnie:

- Nie sposób tak iść i iść donikąd...

- A skoro nie można inaczej? Co mają robić ludzie tacy jak my? - zapytała matka i te słowa zawisły w ciemności.

Długo wierciłem się na posłaniu nim zasnąłem.

* * *

Czułem się teraz jak nie swój, jakby zawisło coś nad tymi czworakami nad naszą izbą, ale co? - nie wiedziałem. Bojaźń, lęk, nadzieja?

Wąłęsałem się po rozległym placu między czworakami, płosząc gęsi i nie wiedzieć kiedy zaszedłem do gumna, a stamtąd poniosło mnie drożyną w dworskie pola.

- Hej, Szymek, a to południca cię porwie - ktoś zawołał. Bałem się południcy, bali się wszyscy. Bywało, że ludzie, co ujrzeli południcę zostawiali w polu bydło czy konie z zaprzęgiem i co sił w nogach uciekali do zabudowań. Tylko gorzelany mówił, że południcy się nie boi, ale jak było naprawdę, nikt nie wie.

Szedłem tedy pełną drożyną na wiotkich nogach, podszyty strachem, bezwolny. Szedłem na przełaj przez pola, przez oziminy aż na skraj lasu. Dopiero tu poczułem naprawdę strach. Spojrzałem ku czworakom, ale nie było ich widać, wszystko skryło się w wiszącej nad ziemią szarej mgle. Przelatujący nad lasem wiatr kołysał wierzchołkami sosen. Słychać było monotonne fiu... fiu...

Przedzierałem się przez gęste podszycie, rozgarniając rękami gałęzie leszczyny, zmęczony przysiadłem na niewielkiej polanie. Znowu to fiu... fiu... nade mną. Nasłuchiwałem, leżąc na wznak. Wyciągnąłem ręce za głowę, patrzyłem prosto w maleńki skrawek błękitu między wierzchołkami drzew. Czułem, że ten skrawek nieba spływa ku mnie, przelewa się nade mną, więc złożyłem dłonie w tubę, jak bym chciał napić się tego błękitu...

- Fiu, fiu - znowu słyszę i jednocześnie czuję jak odrywam się od ziemi, jak unoszę się swobodnie, lekko. Już jestem nad lasem, wzbijam się coraz wyżej, balansuję w powietrzu, rozkładam ręce jak skrzydła.

- Hej! - krzyczę.

Nade mną, pode mną, szara otchłań, otwieram oczy, ale w głębokiej toni nie widzę nic, jakby wszystko zasnuła mglista pajęczyna, dopiero po chwili, na dnie tego odmetu dostrzegam płachetki pól, pudełka domów nanizane na sznury dróg i kosmate kępy drzew.

- Gdzie ten dom obok koszar, gdzie to miasto? - Tam można dojechać koleją - mówił ojciec. Ale gdzie? Na próżno rozglądam się, wypatruję. A może tego domu nie ma? Może ten dom powstał jedynie w ojca wyobraźni? Marzył mu się jeszcze w dzieciństwie i teraz opowiada nam o tym, czego naprawdę nigdy nie było, czego nigdy nie będzie?

Pod wieczór znaleźli mnie ludzie. Leżałem na polanie, rozleniwiony w jakiejś malignie, w niebycie.

- Szymek, co tobie? - pytali.

- Szukam domu mojego ojca - odpowiedziałem, podnosząc się z tego legowiska.

- W głowie ci się pomieszało, czy jak?
- To południca - ktoś dodał.
- Południca? - zdziwiłem się, bo tego dnia nie było słońca, tylko mgła, szara wisząca tuż nad ziemią. Jak to być mogło? - nie wiedziałem.

* * *

Był już wieczór, kiedy przybył pan Szeja. Śmiał się, gdy mama opowiadała.
- I co, widziałeś południcę? - pytał.
Milczałem zawstydzony.
Dziwny to człowiek, pan Szeja. Nazywano go różnie, a to powsinogą, obieżyświatem, rajzerem. Śmiał się z tego.
- A niech mówią, ja wiem swoje - powiadał.
I wędrował pan Szeja od miasta do miasta, od wsi do wsi, choć nikt nie wiedział czemu tak nosi go po świecie i nosi. Spał tam, gdzie go noc zastała, rano wyruszał przed siebie. Odległości między miastami przeliczał na dni wędrówki, mówiąc:
- Będzie tam drogi na siedem dni.
Taki był pan Szeja. Ojciec cieszył się jego widokiem, klepiąc go po ramieniu mówił:
- Ach, ty zwariowany Don Kichocie.

- Może i zwariowany - odpowiedział pan Szeja - a jednak Don Kiszot umarł przy zdrowych zmysłach, choć wiódł żywot szaleńca.
Śmiał się. Każdą opowieść kwitował śmiechem.
- Ty byś nawet na pogrzebie znalazł coś do śmiechu - mówił ojciec.
- A żebyś wiedział, że to prawda. Idę sobie drogą, wozem jedzie chłopina. To ja mówię: - Gospodarzu! Z wozu wam coś spadło.
- Z wozu? - pyta.
- No, nie widzicie - mówię. - O tam, coś leży - i wskazuję ręką jak najdalej. Chłopina, niewiele myśląc, zeskakuje z wozu, biegnie, II ja krzyczę - dalej, dalej!
W izbie zahuczało od śmiechu.
- Za te szpasy, to ci kiedy chłop batem przyłoży - powiedział ojciec.
- E, co by tam miał przykładać - zaśmiał się pan Szeja i dalej mówił: - Idę sobie, a tu baby piorą przy strudze, to ja mówię - wy tu pierzecie, a we wsi chałupy się palą!
- O Boże! - krzyknęły i co tchu do wsi.
Znowu śmiech. I tak snuł te opowieści, jakby je z rękawa wytrząsał. Nawet w czasie kolacji, którą jedliśmy przy stole, tym opowieściom nie było końca. Dopiero późnym wieczorem, kiedy wszyscy umilkli, pan Szeja przechylił głowę w tył i patrząc w sufit, pogrążył się w zamyśleniu, a po chwili ocknąwszy się, wstał nagle, rozłożył ręce szeroko i zaśpiewał:

*Tam szum Prutu, Czeremoszu
Hucołom przygrywa.
A wesola kołomyjka
Do tańca porywa ...
Dla Hucuła nie ma życia,
Jak na połoninie,
Gdy go losy w doły rzucą
Wnet z tęsknoty ginie.*

Pan Szeja stał pośrodku izby, uniósł ręce wysoko nad głową, zastygł bez ruchu na moment, po czym wystukując rytm końcami butów, rozkołysał całą postać. Ręce i tułów dostosował do tego rytmu, i tak krążył śpiewając, aż taniec nappełnił izbę. Tańczyły ściany i sufit,

okna i statki, a pan Szeja jak wodzirej to schylił się, to prężył, rozkładał ręce, przechylał głowę, to w przód, to w tył, klaskał w dłonie do taktu i tańczył, tańczył.

Nawet nie wiem, kiedy zapadła noc i kiedy poszedłem spać, bo leżąc już w łóżku, słyszałem nadal klaskanie palców, ściszony śpiew i kołyszący taniec.

* * *

Pan Szeja nie odszedł po przespanej nocy, jak to miał w zwyczaju, ale pozostał na dłużej. Miałem uciechę. Chodziłem z nim nad strugę, gdzie wycinał dla mnie fujarki z wierzbowych gałęzi. Paradowałem z tym, wzbudzając zazdrość.

- Szymek, skąd to masz? - pytali chłopcy.

- Sam zrobiłem, z wikliny.

- Akurat sam! - nie dowierzali.

Moja uciecha nie trwała długo. Ojciec i pan Szeja zamykali się teraz w pokoju na całe godziny.

- Nad czym tak radzą? - pomyślałem i przyłożyłem ucho do drzwi.

- Coraz trudniej tu żyć, nie ma nadziei - żalił się ojciec.

- Nie ma, no bo nie ma, dlatego mówię - rzuć to wszystko w diabły, świata się boisz, czy jak? - pytał pan Szeja.

- Boję, może i boję. Wiem czym są te czworaki, ale wyjechać stąd nagle w świat, to znaczy wszędzie i nigdzie... - mówił ojciec.

Nastąpiła cisza, w której tylko kroki dudniły po podłodze. Dopiero po chwili odezwał się pan Szeja:

- Jak człowiek chce w życiu dopiąć swego, coś zrobić, to musi się zdecydować, bez tego ani rusz.

- Więc co radzisz?

- Jak to co? Powiedziałem, wyjechać stąd, wyjechać choćby do P., to miasto, a w mieście żyć łatwiej. P. leży nad Szreniawą, na czarnoziemiu. Pomyśl, dopiero tam będziesz hodował róże!

- Może i tak - wtrącił ojciec i po chwili namysłu rzekł - ale ja mam tylko ręce do roboty.

- I dobrze! Tam ziemia odłogiem leży, za marny grosz weźmiesz dzierżawę i masz ziemię.

- A niechby, i co dalej, od czego zaczynać?

- Odwagi chłopie, odwagi - zachęcał pan Szeja - najważniejsze żeby zacząć z nadzieją!

- Z nadzieją, z nadzieją... - powtarzał ojciec.

Usłyszałem kroki w sieni, skrzypnęły drzwi i do kuchni weszła mama. Zerwałem się na równe nogi.

- Mamo, czy nam tu źle, czy musimy stąd wyjechać? - pytałem.

- Wyjechać? - zdziwiła się mama. - A kto ci to mówił? - i nie czekając odpowiedzi dodała - wyjechać, to się tylko łatwo mówi. Wyjechać - narażać się na niepewny los. Na swoim dorobić się trudno, a cóż dopiero na cudzym?

* * *

- Teraz człowiek z głodu nie umrze - mówili ludzie - a to w sad Iść, do boru, gdzie jagód w bród.

Był to już koniec wiosny i początek lata. W sadach rumieniły się na drzewach pierwsze czereśnie. Kto mógł, ukradkiem, po kryjomu nagiął gałęzie, aby nazrywać owoców za pazuchę. Tylko ojciec od dłuższego już czasu chodził markotny, niczego nie dostrzegał. Nawet teraz, idąc ze mną przez ten sad, nie podsadzał mnie do gałęzi, uginających się pod ciężarem rumianych czereśni.

- Wszystko to nie nasze, zakazane - mówił. - Na swoim, to co innego. Dlatego trzeba nam w świat.

- W świat?

- A żebyś wiedział, że w świat - mówiąc to pociągnął mnie za rękę i poszliśmy na skraj tego ogrodu, gdzie na szerokiej między sterczało ogrodzenie. Ojciec usiadł na murawie, żując żdźbło trawy, patrzył przed siebie, jakby tego świata wyglądał, co go ciągnie w nieznanne, więc chcąc przywołać ojca tu, z powrotem, zapytałem:

- A róże, kto tu będzie hodował róże? - ale ojciec nie słuchał, tylko patrzył przed siebie, a myślami był z pewnością daleko, bo po chwili tego patrzenia powiedział:

- W świat nam trzeba, w świat.

Tak oddalał się ojciec od rzeczywistości, uwiedziony mrzonkami urojeń. Dopiero po chwili jakby ocknął się z tej zadumy, podniósł się z murawy, po czym ujął mnie za rękę. Kiedy wracaliśmy przez ten ogród nagle pociemniało, porywisty wiatr uderzył w drzewa, tak że gałęzie miotane wiatrem kuliły się w sobie. Od pół niosło tumany kurzu, zwiastując nagłą ulewę.

- Uciekajmy! - krzyknął ojciec, szukając schronienia. Już w strugach deszczu, biegnąc susami ku szopie opodał, wpadliśmy do środka, zamykając za sobą drzwi. Dudniło, strużki wody spływały po ścianach, przeciekały przez dziurawy dach. Burza nie ustawała, wzmagając się szum ulewy. Dopiero po czasie, grzmoty skupione nad nami rozwlokły się po niebie, tak że to dudnienie powracało już tylko echem.

- Przechodzi - powiedział ojciec z ulgą i uchylił drzwi, padały jeszcze ostatnie krople. W brzdach stały kałuże wody. Resztki wiatru miotaly się po sadzie, prostując zmierzwiłone gałęzie. - Idziemy - powiedział ojciec i posadził mnie na ramionach. Zawadzałem głową o mokre gałęzie, strząsając krople wody.

- Na całym świecie są burze?

- Na całym, na całym - odpowiedział ojciec.

- To po co nam w świat? Po co nam w świat? - pytałem uporczywie.

* * *

Niedzielne popołudnie przeciągało się leniwym snem. Cisza przyczłapała od pół, zawisła nad czworakami niewidzialną pajęczyną. Ludzie odurzeni tym niedzielnym popołudniem, tą ciszą, co dzwoniła w uszach, wałęsali się niemrawi, bądź wylegali po kątach. Czasem tylko bicie zegara, bądź monotonne zawodzenie nad kołyską, mąciły tę ciszę rozpanoszoną do cna.

Stałem tedy przy oknie, wpatrując się w ten pusty plac okolony czworakami. Wodziłem wzrokiem po rudej murawie, po zygzakach ścieżek. Wypatrywałem ojca, który skoro świt poszedł do tego miasta nad Szreniawą i dotąd nie wraca.

- Ano nie wraca? - powiedziała mama. - Miasto daleko, a tu trzeba się rozejrzeć, z ludźmi pogadać. Wiadomo to, co nas czeka? - po tych słowach powtórzyła to nękające pytanie.

- W świat? Po co nam w świat?

- Może wyjdziemy naprzeciw? - spytałem nieśmiało.

- Naprzeciw, pewnie że wyjść trzeba - powiedziała mama i podchodząc do okna dodała - w świat ciągnie ojca, w świat, jakby tu już miejsca nie było.

Po chwili byliśmy gotowi do drogi. Niecierpliwy, wybiegłem z domu.

- Poczekaj! - usłyszałem już za drzwiami. Idąc minęliśmy czworaki, a potem wieś, co ciągnęła się wzdłuż gościńca. Bocian klekotał w gnieździe wiszącym na grzbiecie stodoły. A potem szliśmy drogą wśród pól.

- W świat... - powiedziała matka sama do siebie, rozglądając się wkoło, jakby chciała złagodzić tę niepewność losu.

Szliśmy w milczeniu. Droga wryła się w głęboki wąwóz, wspinając się raptownie na stromy pagórek. Spadziste brzegi wąwozu, usypujące się gliną, porośły kępami trawy, ostów i

popłochu. Z wysoka zwisała rozkrzewiona tarnina. Biegłem tym wąwozem na szczyt drogi. Zdyszany stanąłem na chwilę, spoglądając za siebie.

- Mamo! - krzyknąłem co sił, ale głos wątyły tłumiły chaszczce.

Mama ubrana w białą suknię, w tym głębokim wąwozie wydawać się mogła białym, opuszczonym gołębiem, takim, co to odbił od stada, zbłądził i szamoce się teraz w potrzasku wąwozu.

- Mamo! - krzyknąłem raz jeszcze, bojąc się, że ten biały gołąb, którym stała się matka, wyzwoli się z tego potrzasku wąwozu, z tych pajęczyn tarniny, sfrunie nagle, poszybuje w niebo i zostanę sam.

Zacząłem więc biec z powrotem, w dół, aż dopadłszy matki objąłem ją w pól.

- Ty jesteś białym gołębiem! - powiedziałem.

I znowu szliśmy drogą wśród pól, a potem na przełaj, przez te pola, przez miedze, na wprost, nie wiedzieć dokąd, aż umęczeni tym brodzeniem stanęliśmy, nie wiedząc co czynić, czy iść dalej, czy szukać drogi, czy wracać?

I wtedy to, wpatrując się w tę dal zamkniętą nieboskłonem, usłyszałem dzwony. Dalekie, niby echo spływające z chmur, z razu ciche, kołyszące bim bam, niesione wiatrem potężniało, to znów cichło wchłaniane rozłożystą zielenią pól.

- Dlaczego tak dzwonią? - zapytałem. Matka nie odpowiedziała. Stała milcząca, wpatrując się w dal za horyzontem, ale nie widać było kościelnych wież, ani tego miasta nad Szreniawą, ani ojca, który miał wracać, a nie wracał, tylko te dzwony rozwleczone po niwach, po ścieżynach polnych, niosły niby dalekie wołanie, nie wiedzieć skąd, którego pojąć nikt nie potrafił.

* * *

Była już noc, kiedy wrócił ojciec. Ledwo usiadł przy stole, a już zerwał się i chodząc po izbie, niby ten sam, a inny, jakby tym miastem odmieniony.

- No mów, mów - nalegała matka.

- Ziemi kawał leży odłogiem, zabudowania znośne. Więc na co czekać? Wyjechać choćby zaraz.

Jak to wyjechać? Jak to zaraz? - pytała strwożona matka - a tu zostawisz wszystko na pastwę losu? No pomyśl, zastanów się - nalegała. Ojciec milczał, kroczył po tej izbie jakby ważył to za i przeciw, choć był pewny, że ten świat, który ujrzał wpatrując się w dal, w ten skrawek nieba za horyzontem, tkwił w nim głęboko, był jego nadzieją, a zabrać człowiekowi nadzieję, to zabrać mu wszystko.

Tymi myślami jakby walczył ojciec z resztkami rozsądku. Dlatego też dopiero po długiej chwili odezwał się znowu:

- Ciągnie mnie w świat, jakby tam była jakaś nadzieja, jakiś cel, bo człowiek nosi w sobie swoją prawdę. Życ z tą prawdą w sobie niełatwo, ale bez tej prawdy życie nie miałoby sensu.

- A może ludzie tacy jak my powinni skromniej patrzeć na świat powiedziała matka.

Ojciec znowu kroczył po tej izbie w milczeniu, nim powiedział: - Chcę zbudować dom, znaleźć to miejsce na ziemi, czy to za dużo jak na nasze życie?

Mama usiadła na ławie, opierając plecy o ścianę. Po jej twarzy spływały łzy, ojciec, widząc to podszedł do matki, objął ją ramieniem, i w tej ponownej ciszy, powiedział:

- Zbudować dom, składać cegłę po cegle, bo jak jest dom to jest skąd wyjechać i dokąd wrócić. Potem podszedł do okna i wpatrując się w ten skrawek świata mówił, jakby sam do siebie:

- Tak łatwo życie strwonić, trudniej zostawić po sobie ślad.

Po tych słowach cisza zaległa izbę. Mrok gęstniał. Naftowa lampa, wisząca u sufitu, rozświetlała tę ciemność niczym wiotki promyk nadziei.

* * *

Chodziłem teraz dumny.

- Wyjeżdżamy, dom będziemy mieli własny - mówiłem.

- Dom? A kto ci tak mówił? - pytali ludzie.

- Jak to kto? Ojciec!

- Mówić to można, ale co z tego wyniknie, to Bóg raczy wiedzieć.

- Nie wierzycie, nie wierzycie?! - krzyczałem.

Uciekałem hen za czworaki, w dolinę strugi. Przedzierałem się przez kępy wikliny, tataraku i sitowia. Biegłem przez rozmokłe łąki, klaskające wodą pod stopami. Rozłożyłem ręce szeroko, jakbym to wszystko chciał wchłonąć i zabrać ze sobą.

- Być wiatrem, być wiatrem - pomyślałem i biegłem krzyżąc wiatrem jestem, wiatrem!

Zmęczony, usiadłem na wierzbie pochylonej nad strugą. Patrzyłem w rudą toń, woda bulgotała w zakolu, kołysała badyle, naniesione żdzbla, zeschłe patyki.

- Być wiatrem, być wiatrem, niczym więcej...

* * *

Pod sień zajechał folwarczny wóz. Ładowano cały nasz dobytek - kufry, szafy, łózka, statki, co było w izbie. Zeszli się ludzie z czworaków, stanęli kołem, doradzali:

- A to najcięższe na spód, a potem luźne statki.

- Jeden by tak, drugi by tak - odpowiadał furman, stojący na wozie. Odbierał przynoszone sprzęty, upychając je w luźne miejsca.

Ojciec krzątał się koło wozu, to zaglądał do izby, to wracał, to poglądał na ludzi, ale nie kwapił się do rozmowy. Wyglądało jakby myślami był już daleko, bo poglądał w stronę drogi. Stary gorzelany jakby to wyczuł, podszedł do ojca i rzekł:

- I nie żal, nie żal zostawiać tych róż, ruszać w świat?

- Ano, świat dla ludzi przecież - powiedział ojciec.

- To prawda - kiwał głową gorzelany - każdego tam ciągnie, choć nie każdemu odwagi starcza.

- Zazdrościć tylko - ktoś dodał - w świecie łatwiej o chleb, a tu? Dworskie czworaki, umęczenie jak w kieracie, to wszystko.

Ojciec jakby ze zdwojoną siłą ładował na wóz co jeszcze zostało, dopiero po chwili podszedł do gorzelnego i rzekł:

Wam to powiem, dom chcę zbudować, a tu, czworaki gniotły mnie, uwierały i dlatego w świat, kiedy nadarza się pora.

A bo ja głupi? Nie wiem tego? Tylko, że z własną biedą, z własną krzywdą, uporać się najciężej, wlecze się to za człowiekiem jak smród, nijak się tego pozbyć... Choćbyś i na kraj świata poszedł, ale iść trzeba póki sił staje, bo jak inaczej, jak? Więc z Bogiem, z Bogiem...

- powiedział gorzelany i odszedł.

Krzątano się jeszcze koło wozu, poprawiano uprząż na koniach.

Wygramoliłem się na wóz, sadowiąc się obok matki na sienniku, wciśnięty między sterczące nogi stołu. A kiedy już wszystko było gotowe ojciec wspiął się na przednie siedzenie i powiedział:

- No to w drogę - i konie ruszyły. Wóz zaturkotał, zakołysał na wybojach, aż wzbil się kurz. Poglądałem na chłopców, co gromadą biegli za nami.

- Do widzenia - krzyknąłem z całych sił. Chłopcy, niczym kukiełki w szopce, machali rękami.

Minęliśmy wieś, głęboki wąwóz, znowu wieś. Ktoś krzychał z opłotków:

- Cygany! Cygany!

Ułożyłem się na sienniku, skuliłem jak do snu. Poglądałem za siebie poprzez wzbijające się kłęby kurzu. W dali bieleły się łąny zbóż, białą połyskiwały topole, zagony tatarski. Biały koń utykał na pastwisku, biała droga zostawała za nami w białym krajobrazie...